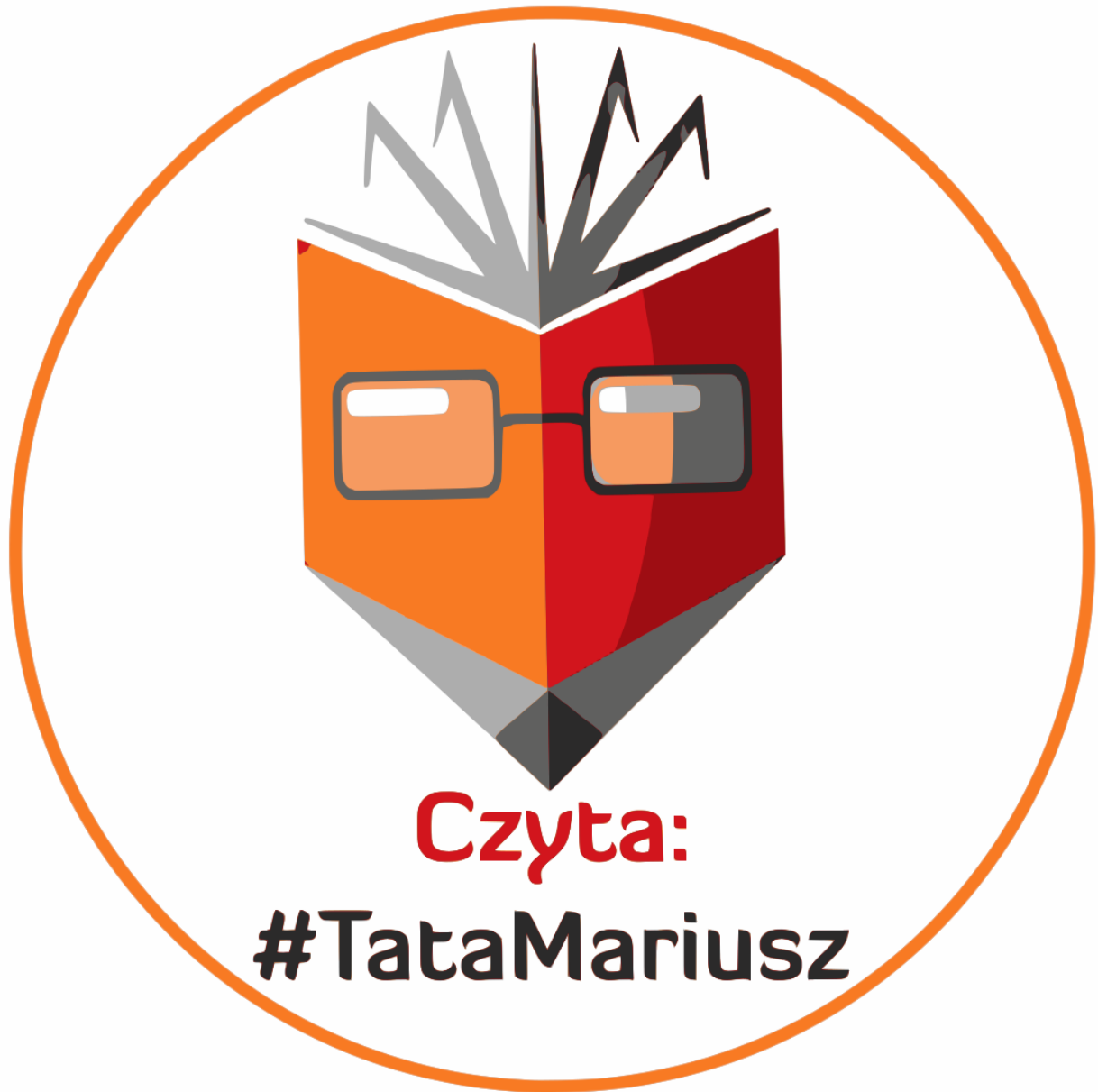


Czyta: #TataMariusz



Kasia Keller

Z KAJETU KAJETANA.

Pogromcy Pogora

fragmenty

Wszelkie kopiowanie i rozpowszechnianie utworów w jakiegokolwiek formie bez zgody autora będzie rodziło skutki prawne na podstawie ustawy z dn. 4 lutego 1994 r. o Prawie autorskim i prawach pokrewnych.



Czyta:
#TataMariusz

PROLOG, czyli skromnie o mnie

Nazywam się Kajetan Bromski, tak jak mój dziadek, tyle że na mnie, w odróżnieniu od dziadka, rodzice wołają Kajtek, jakbym był, nie przymierzając, bocianem z książki Marii Kownackiej. Po dziadku mam też ten zeszyt. Dostałem go na dziesiąte urodziny. Jest nowy, choć stary. Dziwne, co? Jest nowy, bo nieużywany, a stary, bo dziadek dostał go dawno temu od swojego taty, mojego pradziadka. Jakimś cudem przetrwał niezapisany. A skoro przetrwał tyle lat i ma się nadzwyczaj dobrze, to postanowiłem go wykorzystać, zapisując, jak to się mówi – od deski do deski. Umieszczam w nim wszystkie historie warte zapamiętania. Poza tym bazgram (szczególnie, gdy nudzę się w szkole).

Wracając do mojego nieszczęsnego imienia, koledzy wołają na mnie „zeszyt” albo „kajet”. Dzięki za waszą pomysłowość, kochani rodzice! Choć nie cierpię swojego imienia, to ta ksywka idealnie do mnie pasuje, bo rzadko się zdarza, że nie mam przy sobie swojego zeszytu. A znając kolegów, mogło mi się trafić dużo, dużo gorzej, jak na przykład Leszkowi Gamskiemu, który został klasowym Gamoniem albo Zośce Angren, którą przemianowano na Gangrenę, albo też Ryśkowi Bączkowskiemu, słynnemu w szkole Śmierdzibąkowi, czy choćby mojemu najlepszemu kumplowi Nickowi Ponia, zwanemu Nicponiem – ale o nim później.

Podsumowując ten przydługi prolog – jestem zwyczajnym chłopakiem, który, poza pisaniem i bazgraniem w tymże kajecie, robi całkiem zwyczajne rzeczy.

JEDNAK, CO JAKIŚ CZAS PRZYTRAFIA MI SIĘ COŚ TAKIEGO...



ROZDZIAŁ 1.

– Kajtek, obiad! – Usłyszałem zniecierpliwiony głos mamy. – Wołam trzeci i ostatni raz!

– Zaraz iideę! – odkrzyknąłem, i od razu dodałem w myślach: – „tylko skończę level”.

Oczywiście dotarłem na obiad dokładnie wtedy, kiedy wszyscy już wstali od stołu, a to, co leżało na moim talerzu wyglądało jak breja przywieziona z bieguna. To nie znaczy, że moja mama źle gotuje, o nie. Mama gotuje przepysznie i na pewno moje jedzenie pół godziny temu było smaczne i pachnące. Tylko ja jakoś ostatnio nie mogę zdążyć na ciepły obiad. Dokładnie od momentu, w którym zacząłem grać w nową, pasjonującą grę sieciową, ale do tego, że jest związek między jednym a drugim, nie przyznam się nawet, gdyby mnie torturowano.

– Jak zwykle – rozzłościła się mama. – Gra ważniejsza niż obiad z rodziną.

– Nie moja wina. Byłem zajęty czymś ważnym, a przecież ciągle powtarzasz, że trzeba kończyć, co się zaczęło.

– Jedz Kajtek, a potem siadaj do lekcji.

– Jasne – odparłem zadowolony, że mama postanowiła tym razem oszczędzić mi kazania na temat szkodliwości zbyt długiego ślęczenia przy komputerze.

Jasna sprawa, że kiedy odbębniłem zadanie domowe, znów zasiadłem do laptopa, by nie dać wytchnienia Pogorowi. Pogor to czarny charakter w tej nowej grze. Problem z nim polega na tym, że sieje zniszczenie wszędzie, gdzie się pojawia. Zadaniem gracza jest naprawienie wyrządzonych szkód na tyle szybko, by dogonić psuja i zdążyć go uwięzić. Niestety, to jest bardzo trudne zadanie, nawet, gdy działamy wspólnie z Nickiem, moim najlepszym kumplem z klasy. Na całe szczęście punkty, a raczej talary, które zdobywamy za naprawy, przybliżają nas do sukcesu. Tyle że gra jest niezmiernie czasochłonna, jak większość gier sieciowych, co denerwuje mamę, zwłaszcza,



gdy nie zjawiam się na czas przy obiedzie albo zapominam o jakiejś klasówce. Ale ja naprawdę staram się ze wszystkim zdążyć, z lekcjami, obowiązkami, a nawet posiłkami. Przecież nie odpowiadam za to, że kiedy jestem w kulminacyjnym punkcie misji, to akurat wtedy złośliwie dogotowują się ziemniaki do obiadu. I nie moja wina, że kiedy już jestem blisko zwycięstwa, tak dosłownie ciut, ciut, wtedy zwykle coś mi przerywa (na przykład mama) i Pogor daje dyla. A ja muszę wszystko zaczynać od nowa.

– Kajtek, dzwoni dziadek i pyta, czy wpadniesz w sobotę na działkę? – No i właśnie! Głos mamy mnie rozproszył i Pogor znowu zwiął.

– Jeszcze nie wiem! A będę mógł zabrać Nicka?

– Jeśli jego rodzice się zgodzą, to nie widzę przeszkód.

– Ok. Jak Nick pojedzie, to ja też.

Lubię jeździć do dziadka na działkę. Po pierwsze, dlatego, że dziadek jest najfajniejszym człowiekiem, jakiego znam, a po drugie, bo on mnie świetnie rozumie i pozwala mi na wiele więcej niż rodzice. Na przykład w domu stale tylko słyszę, że za dużo czasu spędzam w sieci, a za mało na dworze. Ale kiedy chcę połączyć jedno i drugie, czyli pograć na komórce w ogrodzie, to rodzice się wściekają. Trudno za nimi nadążyć. Za to u dziadka mogę grać do bólu, co on zwykle kwituje tylko słowami „takie czasy” i daje mi święty spokój. Owszem, pomagam mu czasem nakarmić zwierzyńiec, skosić trawę, pozrywać jabłka i czereśnie. A to tylko dlatego, że dziadek nie powinien już dźwigać i ciężko pracować. Tak naprawdę, gdy wyjeżdżam na działkę, to wszyscy są szczęśliwi. Dziadek, bo spędzam u niego czas, ja, wiadomo, bo mam chwilę wytchnienia od rodziców, a rodzice, bo lubią, gdy spędzam czas na świeżym powietrzu.

JEDNYM SŁOWEM – ŻYĆ, NIE UMIERAĆ

